

Jan Skoumal: Szatańska niemoc w świecie László Krasznahorkaiego

Franz Kafka, jak pisał o nim Milan Kundera, obnażył drzemiące w Europie początku XX wieku widmo totalitaryzmu – nie jako prorok, a jako czujny obserwator współczesnego mu świata. László Krasznahorkai rozgrzebuje zaś wciąż jeszcze ciepłego, żywego trupa politycznego ustroju, z którego na światło dzienne wyciąga pijane od własnej niemocy ofiary – pisze Jan Skoumal w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Testament Nobla i wynalazek wielkości”.

Zatańczyć do rytmu walących się dachów, dać porwać się fugom nienależnych perspektyw i partyturom brudu zdobiącego ściany – nie uczyniwszy ani jednego kroku, pokłoniwszy się do pomylonych słów dawno zapomnianej modlitwy i uniósłszy głowę na wieszczący fałszywą nadzieję dźwięk dzwonów. Wreszcie – zatracić się w wiecznym oczekiwaniu na wybawienie, zastygnąć w chwili tuż przed pierwszym drgnięciem mięśnia ruszającej przed siebie nogi, która nigdy nie oderwie się od ziemi. To właśnie znaczy żyć w literackim świecie László Krasznahorkaiego, tegorocznego laureata Nagrody Nobla w dziedzinie literatury; w świecie, który trwa i trwa, porywając nas w diabelskie tango ulatujące spod palców pijanego chłopca, zatraconego w grze na akordeonie i w oczekiwaniu na zbawienie. Czy jednak może ono przyjść z zewnątrz do kogoś, kto nie potrafi we własnym wnętrzu znaleźć woli do przekucia pragnień w choćby cień działania?

„Futaki czegoś się boi. O świecie przestraszony wyglądał przez okno. F. boi się śmierci” – zanotował w jednym ze swoich zeszytów doktor. Z fotela przy oknie obserwuje on zastygłą w bezruchu osadę, która mogłaby być duchowym domem dla wielu innych bohaterów Krasznahorkaiego. Wśród murszejących ścian zamieszkać mogliby ci niezdolni do ruchu utracjusze – wędrujący „na stojąco”, upatrujący swej szybkości wyłącznie w obrotach planety lub pragnący z niej odlecieć – przekonani, że ich mały świat „to nie jest miejsce, w którym da się żyć i w którym warto zostać”. Odnalazłby się tu zarówno przemierzający cały kontynent tłumacz kabinowy, niezdolny do spełnienia marzeń o odwiedzeniu ukochanych wodospadów, jak i uciekający na pustą jezdnię wózkarz, zawsze ostatecznie powracający do duszącego, białego pyłu portugalskiej kopalni. Postaci te, przewijające się przez karty zbioru opowiadań pt. „A świat trwa”, choć nie piją na umór w cuchnącej kwasem gospodzie na węgierskiej prowincji, przynależą do tej samej co bohaterowie „Szatańskiego tanga” wspólnoty – otumanionej, przeżartej niemocą masy, pragnącej odlecieć jak najdalej, ale z własnych rojeń wznoszącej kolejne pręty klatki, więżącej ich „dokładnie w środku cynicznej samozagłady”. Są niczym wodniki okinawskie, występujące w jednym z opowiadań węgierskiego pisarza. Tak jak dla badaczy ptaki te były fenomenem przyrody, tak bohaterowie Krasznahorkaiego, zwłaszcza ci zamieszkujący obserwowaną przez doktora osadę w „Szatańskim tangu”, dla literaturoznawców mogliby stanowić przekrój społeczeństwa tłamszonego przez totalitaryzm czy studium ofiar gospodarczych przemian. Dla czułego czytelnika jednak będą oni – tak samo jak wodniki okinawskie dla mówcy z opowiadania – po prostu ptakami nieumiejącymi latać.

Przeczytaj także: Marek Cichocki o Węgrach

Nieloty, którym Krasznahorkai oddaje głos w swojej prozie, przekuwają resztki tłącej się w nich woli w ciche osvajanie gnijącego w ich głowach *status quo*. Wspomniany doktor do mistrzostwa opanowuje sztukę bezruchu: całymi dniami wegetuje w fotelu, z którego rozciąga się widok na osadę. W przerwach między pijackimi drzemkami skrzętnie notuje najmniejszy dostrzeżony ruch: jak bowiem stwierdza, „przeoczenie pozornie nieistotnej rzeczy oznacza przyznanie się, iż stoimy bezbronni na wiszącym moście rozpiętym pomiędzy porządkiem a rozpadem”, a tylko czujna obserwacja ratuje nas przed stanem się zakładnikami „wiecznie powstającego i pogrążającego się w rozpadzie szatańskiego ładu”. Z kolei jedna z kobiet nie wypuszcza z rąk Pisma Świętego, które każe czytać mężowi na brudnym stole w karczmie, podczas gdy sama obłąkańczo wodzi wzrokiem po zgromadzonych i siłą swoich rojeń próbuje powstrzymać ich przed moralnym upadkiem. Innemu mężczyźnie towarzyszy zaś granicząca z bluźnierstwem, z trudem przypominana sobie modlitwa:

Niech... wola Twoja
I niech się dzieje... słowem,
I niech się dzieje, jak wola
Twoja... tam w niebie,
Tak i na ziemi, wszędzie, dokąd
Sięga twa ręka... jak na ziemi
Jak na ziemi... i w niebie...
Albo w piekle, amen...

W przypadku „Szatańskiego tanga”, ludzka pobożność ostatecznie skupia się na wybawicielu – złotoustym Irimiásie, w którego cudownym zmartwychwstaniu i powrocie do osady jej mieszkańcy upatrują źródła zbawienia. Irimiás „ma rozum jak brzytwa”, dla niego „nie ma rzeczy niemożliwych”, jest w ich oczach nikim innym, jak „kapłanem beznadziejnych sytuacji i ludzi pozbawionych nadziei”, który powstał zza grobu i nadchodzi. W rzeczywistości jednak, czego nie wiedzą mieszkańcy i czego nie chce wiedzieć nawet jego bliski towarzysz, Irimiás został właśnie wypuszczony z więzienia węgierskiej ubecji – jest fałszywym prorokiem i agentem, który zabrania nazywania siebie „wybawicielem” (ale zgadza się na miano „protektora”). Krasznahorkai unaocznia nam grozę, jaka kryje się za biernym oczekiwaniem na poprawę losu – wydobywa grozę z mroku i kładzie ją przed nami na stole w postaci dziecięcej trumienki. Nawet bowiem samobójcza śmierć dziewczynki – płaczącej ze szczęścia na myśl o wzleceniu nad błotami osady ku niebu – nie wystarcza, by poruszyć ludzi zaciętrzewionych w biernym oczekiwaniu na ratunek. Nie drgną nawet wtedy, gdy ich fałszywy prorok w przypływie szczerości nazwie dziecko męczennicą i krwawą ofiarą, a zebranych w gospodzie wykrzyczy w twarz ich winę, by potem zapytać: „I jeśli rzeczywiście uważacie, (...) że «fatum zawisło nad osadą», dlaczego sami nie zdobędziecie się na działanie?!”. Gdy jednak wspomni o planie na poprawę ich losu, w ich oczach pojawią się pełne nadziei, wdzięczne ogniki. Po przekroczeniu pewnej granicy, zza zasłony żalu i niemocy nie dostrzega się bowiem nowych nieszczęść, a wypatruje się – choćby złudnej – nadziei. Gdy bowiem zabraknie nadziei, zostaje tylko tkwienie w samodzielnie sobie narzuconej, wyuczonej bezradności.

Przeczytaj także: Wielkie Węgry na drodze do wspólnoty środkowoeuropejskiej

„Czy to pan jest tym szewcem?” – pyta kolegę Irimiása ubecki służbista, po czym gani obu mężczyzn za (niezawinione) spóźnienie. Scena ta przywodzi na myśl pierwsze przesłuchanie, na które spóźniony dotarł Józef K. („pan jest malarzem pokojowym?”), protagonista „Procesu” Franza Kafki – i naprowadza nas ku kafkowskiej perspektywie, z której warto spojrzeć na twórczość węgierskiego noblisty. Sam Krasznahorkai w jednym z wywiadów stwierdził: „Gdy nie czytam Kafki, myślę o Kafce. Gdy nie myślę o Kafce, tęsknię za myśleniem o nim. Potęskniwszy za myśleniem o nim przez jakiś czas, sięgam po niego i czytam go ponownie” („The White Review”, wrzesień 2013). Wyznanie to znajduje pewne odbicie w twórczości Węgra. Franz Kafka, jak pisał o nim Milan Kundera, obnażył drzemiące w Europie początku XX wieku widmo totalitaryzmu – nie jako prorok, a jako czujny obserwator współczesnego mu świata. László Krasznahorkai rozgrzebuje zaś wciąż jeszcze ciepłego, żywego trupa politycznego ustroju, z którego na światło dzienne wyciąga pijane od własnej niemocy ofiary. I tak, podczas gdy Józef K. przebywa drogę od umniejszania swojej sytuacji, przez próbę walki z sądem, a na biernej rezygnacji kończąc, tak bohaterowie „Szatańskiego tanga” od dawna tkwią w ostatnim z tych stadiów. Józef K. we fraku, a oni w brudnych od wymiocin łachach – czekają, aż przyjdzie ktoś, kto wybawi ich z niemocy. Po kafkowskiego prokurenta przychodzi dwóch „aktorów”, którzy zakończą jego życie pchnięciem rzeźnickiego noża. Mieszkańców osady przejmuje zaś we władanie Irimiás – targają nim jednak wątpliwości, niemoralność własnych działań zaczyna go przytłaczać. W świecie Krasznahorkaiego, przeżutym i wyplutym przez grozę przed którą ostrzegał Kafka, nawet bowiem wysłannicy władzy (tak pewni swego, gdy przyszli rankiem po Józefa K.) przepełnieni są bezsenssem, chaosem i uczuciem przymusu.

Futakiego – jedyne, który przeczuwa podstęp Irimiása, ale nie ma siły mu się sprzeciwić – oraz doktora łączy jedno: dzwony. Gdy osada śpi, nad jej dachami niesie się dźwięk dzwonów, który tylko ta dwójka zdaje się słyszeć: pobudza ich to do wlepiania wzroku w niebo i nerwowego poszukiwania źródła odgłosu. Bo przecież od wojny w okolicy nie ma kościoła z dzwonnica – tak jak nie ma w niej nadziei i, jak by się mogło zdawać, samego Boga. Są tylko fałszywe dzwony, wprawiane w ruch przez obłąkanego włóczęgę, oraz fałszywi prorocy, przed którymi ostrzega nas Krasnahorkai: żaden z nich nie zastąpi nam wybawienia, o które jesteśmy w stanie zadbać tylko samodzielnie, biorąc sprawy w swoje ręce. Bez przebudzenia z duchowego i umysłowego marazmu czekać nas może tylko „skrzyżowanie prymitywnej bezduszności z dreszczem nieistotnej pustki w przepaści niemożliwej do opanowania ciemności” – to fragment z raportu Irimiása, kompletnie niezrozumiały dla urzędników węgierskiej ubecji. A czy my go zrozumiemy, nim będzie za późno?

Jan Skoumal

**Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień”
[504]: „Testament Nobla i wynalazek wielkości”**

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
